

PROFESOR I PRZYJACIEL

Pisać wspomnienie o Profesorze Szafrzańskim, czyli Szafranie — jak go studenci do dziś określają — wydaje się być czynnością podobną do budowania pomnika żywej osobie. Z pewnością Profesor zaprotestowałby, gdyby o tym się dowiedział. Mimo to chcemy spełnić ten miły obowiązek i na okrągłą rocznicę życia złożyć hołd temu, który nie tylko kierował naszymi studiami wyższymi, ale pozostaje od lat przyjacielem oraz niedoścignionym osobowym wzorem.

Niełatwo uporać się z tysiącami obrazów, wspomnień, przeżyć, niekiedy może mało znaczących migawek, fragmentów rozmów z Profesorem. Niełatwo z tego wybrać sprawy ważne, by stworzyć kształt Jego osoby, bodaj niejasne odbicie prawdy o nim. Spróbujemy jednak nasze wspomnienia uporządkować, trochę na przekór Jemu samemu, ponieważ — zdajemy sobie z tego sprawę — pisząc tę laurkę, wystawiamy naszą przyjaźń na szwank.

*

Trudno przypomnieć sobie dokładne daty pierwszych spotkań. To zresztą nie ma większego znaczenia. Rok był na pewno 1969, kiedy to zwróciliśmy uwagę na Profesora. Oczywiście, rozpoczynając studia na KUL-u słyszało się na co dzień wiele nazwisk najlepszych wykładowców głównie tych, którzy najbardziej „piłują” studentów. Niewiele mówiono jeszcze o Ks. Szafrzańskim, ponieważ studia teologiczne dla świeckich były w powijakach, a nowo utworzony Instytut Teologii Pastoralnej borykał się z ogromnymi trudnościami natury administracyjnej. Profesor był wówczas znany jedynie duchownym, świeccy natomiast mogli go tylko słyszeć na licznych naukowych sympozjach kulowskich, w których chętnie zawsze brał udział.

Profesor mieszkał na Sławinku i można go było spotkać codziennie

w drodze na Uniwersytet. Sprawiał wrażenie samotnika, człowieka zamkniętego w sobie, jakby odgradzonego stylem życia od innych. W jego rysach twarzy było coś surowego, w pierwszym zetknięciu wyczuwało się ogromny profesorski dystans. Wielu mówiło, że Profesor jest nie tylko surowy, ale nawet szorstki, chłodny w ocenie ludzi i spraw. Jak się później okazało, była to szorstkość zewnętrzna, pod którą kryła się serdeczność, dystans, który mijał, gdy tylko zaczął mówić, surowość, ale i ciepły uśmiech, zniecierpliwienie, ale także wyrozumiałość i bardzo ludzkie podejście do osobistych problemów studentów.

To, co przyciągało na seminaria do „Szafrana” świeckich było właśnie związane z jego cechami osobistymi: nie był ani „klerykalny” i wyniosły, ani do przesady pogrążony w nauce. Pociągała w nim trzeźwa ocena Kościoła, często podkreślał negatywy, a więc to, co należy zmienić, ulepszyć, a nie tylko to, co może cieszyć i w efekcie sprzyjać postawie spoczęcia na laurach. Nie było w nim także owego kapłańskiego „namaszczenia” w stylu bycia, celebracji w słowach czy gestach. Do dziś pozostał jak ogień, który wypala i trawi, jak burza, która w efekcie odświeża i odnawia wszystko. Imponowało nam, że Profesor zwalcza na każdym kroku pleniącą się gdzieś niedługo niyakość duszpasterstwa, nieznamość soborowych zmian a tym samym zaprzepaszczenie możliwości rozwoju, jakie stanęły przed Kościołem. Jedną z nich są — świeccy. Także świeccy teologowie. Profesor Szafranski był w początkach lat siedemdziesiątych niemal jedynym „apostolem” teologów świeckich na Uniwersytecie.

„Wszyscy jesteśmy Kościołem, partnerami tej samej sprawy, tej samej misji, tej samej odpowiedzialności” — wpajał nam Profesor słowa „deka-
logu” laików, choć, sam o tym wiedział i mówił, że zdarzają się sytuacje, w które trudno uwierzyć. W kilkanaście lat po Soborze bywają duchowni, którzy spotykając teologa świeckiego reagują nań w sposób zupełnie nieoczekiwany. Ich zdaniem — mówił Profesor w czasie jednej dyskusji na ten temat („Słowo Powszechne” 1976 nr 47 — teologię studiuje się jedynie po to, żeby być księdzem lub zakonnikiem. Nie zauważyli, że Sobór otworzył szeroko bramy dla świeckich, dał im prawo studiowania teologii i uznał, że są niezastąpieni jeśli chodzi o teologię rzeczywistości ziemskich. Są pierwszymi komentatorami znaków czasu, ponieważ żyją w świecie.

Problem dialogu, kontaktu osób świeckich i duchownych żywo zajmował Profesora. „Nie możemy żyć bez siebie — stwierdzał donośnie na wykładach. Możemy tworzyć Kościół tylko razem. Rola świeckich teolo-

gów jest niezastępowalna” — pouczał nas, duchownych i świeckich, licznie uczestniczących w seminariach. Te spotkania były swoistą kuźnią dialogu obydwu stron. „Jedni i drudzy mogą sobie ogromnie dużo dać dlatego, że reprezentują różne postawy, różną mentalność i inny punkt wyjścia we własnych dociekaniach teologicznych”.

We wspomnianej wyżej dyskusji wyłożył swoje credo zawodowego teologa i duchownego, to, co wielokrotnie czynił wobec nas, mianowicie dał wyraz niewystarczalności teologii tradycyjnej dla naszych czasów. Nie, nie było to jakieś kajanie się przed laikami, bicie w piersi, ale stwierdzenie faktu. A ten był oczywisty: tradycyjna teologia uprawiana przez duchownych, nie mających kontaktu z życiem, oddających się teoretycznym spekulacjom, nie posiada dzisiaj żadnej racji bytu. Teologowie duchowni i świeccy — głosił Profesor — są równowartościowymi partnerami, mogą i powinni wzajemnie się uzupełniać. „Różność zadań, różność misji, ale wspólne tworzenie Kościoła” — brzmią nam w uszach lapidarne wnioski Jego wywodów. „Wspólnie szukamy sposobów budowania Kościoła”. „Konieczność podziału funkcji, ustawiczne rozmowy, wspólne wracanie do źródeł, a także — wspólna modlitwa, medytacja [...] — to mają być stałe elementy współpracy duchownych i świeckich. Kiedyś, w przełomowej jak na swoje czasy Akcji Katolickiej, mówiło się tylko o uczestnictwie świeckich w hierarchicznym apostołstwie Kościoła. Świeccy mogli się jedynie włączać do pracy, pozostawali jednak niedojrzałymi podopiecznymi”. Dzisiaj wiele się zmieniło, ale — jak to wielokrotnie podkreślał Profesor — teoria może nigdy nie przejść w praktykę.

Fakt, że ostatni Sobór po raz pierwszy zachęcił świeckich do uprawiania teologii i jej pogłębiania przez całe życie, że widzi w tym prawdziwe dobro dla Kościoła może pozostać w sferze planów, o ile sprawą teologów świeckich będzie zainteresowany tylko Uniwersytet. Z tego Profesor zdawał sobie doskonale sprawę. Cóż, u nas nie do pomyslenia jest jeszcze taki model duszpasterstwa, jak np. na Zachodzie, gdzie przy jednym stole z proboszczem zasiadają do narady inni duchowni oraz świeccy asystenci parafialni czy dekanalni, osoby odpowiedzialne za katechezę, akcję charytatywną, poradnictwo rodzinne... Jednym słowem świeccy teologowie, którzy są naprawdę niezastąpieni. I co jeszcze podkreślał: świecki teolog ma prawo żyć z teologii, jak żyją z niej duchowni. To ostatnie stwierdzenie, jak na owe czasy u nas, było bardzo śmiałe. (Kwestia odpłatności pracy świeckich w duszpasterstwie jest zresztą do dzisiaj sprawą jakby wstydliwie ukrywaną, obarczoną przeróżnymi manipulacjami, co zresztą wiąże się nie tylko z przysłowiowym „wężem w kieszeni”, ale też nieżyciowymi przepisami finansowymi).

Ileż wykładów i seminariów poświęcił Profesor tym sprawom! Ileż wykresów, kółeczek, modeli rysował na tablicy, aby wyjaśnić problem, tra-

fić do wyobraźni. Sobór nie do końca określił status świeckiego teologa. Resztę miało dopowiedzieć życie. Życie miało ukazać specyfikę tego zawodu? Czy powołania?

Teolog świecki! Duchowny bez święceń? Apostoł żyjący w świecie? Świadek Chrystusa w rodzinie, w zakładzie pracy, w badaniach naukowych!

I to, na co stale kładł nacisk: konieczność ustawicznego dokształcania. Pamiętamy jak dziś jego słowa: „Znajomość teologii powinna stać się drugą naszą naturą” I akcentowanie zadań: „Macie tę teologię z seminariów, z klasztorów, uprawianą dotychczas jakby w ukryciu przenosić w świat. Powinniście być źródłem inspiracji w świecie, działać i apostołować nie tyle z inspiracji hierarchii, ale z potrzeby serca i dla dobra całego ludu Bożego. Należy głosić żywego Jezusa z Nazaretu, czynić wszystko, aby doprowadzić innych do uwierzenia, do ich ureligijnienia”

W tym miejscu, żeby już nie unosić się tylko w sferze teorii, chcielibyśmy przypomnieć praktyczny wymiar nauczania Profesora, pośredni owoc jego inspiracji, mianowicie Duszpasterstwo Rodzin w diecezji lubelskiej. Oczywiście, nie On je zakładał, ani też przez chwilę nim nie kierował. Jednak gros studentów, którzy zaangażowali się w tę wielką imprezę, wywodziło się z seminarzystów Profesora, Jego uczniów. Przede wszystkim cała „góra” duszpasterstwa to byli jego magistranci, ci, którzy przejęli od niego postawę zafascynowania teologią, do których dotarły słowa Profesora: „Teologia to kwestia tożsamości i świadectwa. Nie można studiować teologii, wykładać teologii bez uteologicznienia swojego życia”.

Nie było wykładu, żeby nie zapytał, jak idzie praca z rodziną. Bywały seminaria, w czasie których opowiadaliśmy przygody z terenu, spotkania z ludźmi, problemy wielkie i małe. Wszystko Go interesowało. Miał konkretny sprawdzian teorii z praktyką. Nierzadko musiał nas pocieszać, zachęcać, gdy opadały ręce, inspirować do naukowego opracowania zagadnień. Niektórzy koledzy z naszego duszpasterstwa pod wskazówkami Profesora pisali niemal podręczniki z teologii rodziny, a wszyscy musieliśmy prowadzić dokładne konspekty prelekcji. Profesor patronował tej, może jeszcze niedojrzałej, ale autentycznej refleksji naukowej, połączonej z uczciwym i rzetelnym zaangażowaniem się w sprawy szeroko pojętego apostołstwa świeckich.

DYDAKTYK I WYCHOWAWCA

Nawiązać kontakt z Profesorem można było bardzo łatwo. Wystarczyło przyjść na seminarium magistranckie. Kolega przyproceedzał kolegę, przyjaciółka przyjaciółkę. Były lata, że ledwo mieściliśmy się w dużej sali wy-

kładowej. Kilkudziesięciu magistrantów. Tym nie mógł się poszczycić żaden uczonec na KUL-u. Ale też nie było tematu, którego Profesor nie mógłby czy nie chciałby poprowadzić. Pisano więc o religijności hippisów, o Sacrosongu, myśli teologicznej w „Argumentach”, teologii w dramatach Zawieyskiego, o rodzinie... W tych różnorodnych tematach przyjmowanych przez Profesora można by się dopatrzeć swoistej wieży Babel, poplątania z pomieszaniem. Czy tak? Naszym zdaniem przejawiał się w tym szacunek do zainteresowań studenta oraz... własna ciekawość danego problemu. Profesor jest uczonym uniwersytetu, w rozumieniu owej *universitas*, uniwersalności w poruszaniu się po różnych dziedzinach wiedzy. Nie jest więc człowiekiem jednej tylko specjalności.

Mimo tak dużej liczby uczestników seminaria odbywały się w rodzinnej atmosferze. Z perspektywy prawie dziesięciu lat, które minęły od tego czasu, zdumiewa nas ciągle fakt naszego pilnego uczęszczania na seminaria. Kultura intelektu Profesora, umiejętność rozmowy i dyskusji... imponowały nam. Pamiętał zawsze, że praca naukowa i dydaktyczna, szczególnie na wydziale teologicznym, musi być także pracą moralną. Dlatego nie przekazywał jedynie wiedzy, wyników czy owoców swoich dociekań naukowych. Ba, nigdy nie czytał skryptu, nie korzystał z notatek. Zawsze tworzył coś nowego, ciągnął jakąś myśl, która go w danej chwili zafascynowała, zgłębiał, przejawiał zdolność do kontemplacji, skupienia.

Uczył nas nieustannie myśleć i poszukiwać, odkrywać i poznawać. Seminaria były właśnie czasem wspólnych poszukiwań i odkryć, wędrówek po najbardziej frapujących tematach. Im problem trudniejszy, tym kierujący dyskusją „rozgrzewał” się mocniej, zapamiętywał w tłumaczeniu i dyskusji. Odczuwaliśmy lęk, czy dotrzymamy Mu kroku. Chociaż zdarzały się nieraz zabawne momenty, przyłapania nas na naszej kompletnej „nieuczoności”, przyjemnie było z Profesorem myśleć na gorąco, spoglądać na zagadkowy uśmiech Profesora, a właściwie ojca, który wie, ale czeka aż dziecko samo zrozumie problem i wyciągnie wnioski. To porównanie z ojcem nie padło tutaj przypadkowo. Dzisiaj, kiedy własne dzieci wyciągają nas na wędrówki po tematach, czujemy się tak samo, jak wówczas Profesor: wiemy jaka jest prawda, ale czekamy, naprowadzamy, podpowiadamy..., aby każdy mógł odkryć swoją prawdę, przeżyć ją, przyjąć jako własną.

Najważniejszą rolę pełniły w tym przypadku zaufanie i autorytet Profesora, wpływające z troski o prawdę. Tak jak dziecka nie można oszukać pseudożyczością, tak i nas, studentów przyciągała do Profesora jego autentyczność. On razem z nami przeżywał spotkanie z prawdą. Słowo prawda należałoby pisać z dużej litery, ponieważ chodzi o Prawdę w wymiarze osobowym, o spotkanie z Jezusem. W końcu, wszystkie zagadnienia teologiczne zasadza ją się na Nim, Bogu-Człowieku.

Mówiąc najogólniej, seminaria były jakby „wyższą szkołą” myślenia i dyskusji, „zaginaniem” Profesora przez studentów, zaprawianiem nas do pracy naukowej i apostołskiej. Uczył nas trudnej sztuki szukania, ciągłych wyborów Prawdy. Niepokojny sam, poszukujący, wzbudzał w nas niepokój, wyrwał z błogostanu, zasypywał pytaniami. Mówiło się nieraz o tych spotkaniach: „zamącił i poszedł”, urwał w połowie, zostawił na łasce domysłów... Ale w tym była metoda, w tym „męczeniu” nas, rzecz zdumiewająca, okazywało się, że na końcu „ciemności” jawiły się nagle światełka, które po czasie sprowadzały jasność. Przychodziło zadowolenie, ufność, że warto szukać, bo w samym szukaniu jest smak odnalezienia.

Oczywiście, zdarzały się słowa krytyki pod adresem Profesora. Nie wiemy dlaczego, ale częściej skarżyli się na niego duchowni. Być może od nich więcej wymagał. W czasie którejś sesji egzaminacyjnej Profesor „oblał” cały rocznik. Posypały się więc słowa krytyki, że nierówny, nazbyt surowy, chaotyczny. Tym opiniom przeciwstawiano inne, że jest wspałały, „bombowy”, niezrównany, niezastąpiony. Opinie biegunowo przeciwne, wypowiedane w ferworze już to zawodu, już to zachwytu.

Profesor był wymagający na egzaminach, to fakt, nigdy jednak nie oczekiwał odpowiedzi nadzwyczajnych. Żądał natomiast, aby student logicznie myślał. Pamiętne, własne magisterium jawi się jako typowy przykład. Gorączkowe przygotowywanie tez, świadomość ogromnych luk w wiedzy i lęk, żeby nie zawieść Profesora. Za oszklonymi drzwiami, gdzie nagle znalazł się człowiek przed prześwietną komisją, tylko twarz Profesora wyrażała życzliwość. Stawiał pytania rzeczowe, krótkie i kiedy wydawało się, że już wszystko jakoś szczęśliwie minęło, ostateczne pytanie zaskoczyło nawet komisję: „Co Pani kojarzy się z dzisiejszą datą?” I nagle chaos w głowie, gorączkowe próby kojarzenia dni, miesięcy, lat. Do żadnego wydarzenia nie pasował dwudziesty listopad. Profesor widząc moje zakłopotanie wspomniął o pracy magisterskiej, o kościelnych dokumentach omówionych w niej. Przyszło olśnienie. Oczywiście, chodzi o datę przemówienia papieża Piusa XII do Kongresu Włoskiego Katolickiego Związku Położnych (20 XI 1951). Jeden z członków komisji powiedział po egzaminie: „Kiedy Profesor zadał Pani to pytanie, nie wiedziałem, o co mu chodzi. Na szczęście, Pani sobie z tym tak świetnie poradziła”. Pomyślałam: „Nie byłoby tak świetnie, gdyby Profesor nie pomógł!”

ZAFASCYNOWANY JEZUSEM

„Ostatecznie zawsze chodzi w naszym życiu i działalności o sprawę Jezusa” — zakończył tymi słowami Profesor dzień skupienia dla świeckich teologów w Mysłowicach.

Fascynacja Jezusem — nie ma w tym sformułowaniu ani przesady, ani egzaltacji. Profesor lubił kończyć wykłady czy seminaria nieco w stylu kaznodziejskim, sprowadzając problem do pointy wyznaniowej, do słów: „ostatecznie liczy się to, co uczyniłeś dla Jezusa”. Lubiliśmy słuchać tych mocnych, nieraz jakby drapieżnych wyrażeń stawiających nas przed faktem żywej osoby Jezusa. Do dziś brzmią nam w uszach jego słowa o fenomenie Jezusa, Człowieka i Boga, który „trzydzieści lat spędził w Nazarecie, w milczeniu. Nie czynił żadnych cudów, nie potrzebował pomocy aniołów, żył jako syn robotnika, pracując ciężko na chleb [...]. Potem rozpoznał w Ogrójcu wolę Ojca. Mógł postępować dyplomatycznie, nie narażać się, pływać i lawirować. Przyjął wolę Ojca, przyjął śmierć — największą tajemnicę zniszczenia człowieka przez siły przyrody. W całkowitym opuszczeniu wypowiedział ostateczne: »Wykonało się«. Wierny do końca. Droga do pełni, droga spełnienia się naszego życia wiedzie tylko do Niego i przez Niego”.

Przytaczamy słowa Profesora z pamięci, może niezbyt precyzyjnie i dokładnie. Żałujemy dzisiaj, że nie przychodziliśmy na spotkania z magnetofonem.

Profesor potrafił własne fascynacje przelewać na uczniów. „Dać się zafascynować Jezusem — mówił na wspomnianym dniu skupienia — to pozwolić Jemu działać w nas, Jemu żyć w nas. Każdy człowiek jest znakiem Jezusa. Jego męka się nie skończyła, ona trwa. Wobec niego liczy się moja choroba, samotność, niepowodzenie... Liczą się nieudane dzieci, niedostatki materialne, długoletnie oczekiwanie na mieszkanie... Chrześcijaństwo jest Dobrą Nowiną o Jezusie, który wszedł do naszych domów, pracuje z nami w fabryce, sprawdza bilet w pociągu, kieruje tramwajem... Jezus jest z tobą stale, także wtedy, gdy czujesz się nikomu niepotrzebny. To mniej ważne, czy wierzysz w Kościół, czy umiesz się modlić, czy znasz historię Kościoła... Najważniejsze, czy kochasz Jezusa”.

Przypominamy w tym miejscu słowa Profesora, ponieważ nosimy je głęboko w sobie. Stanowią one credo uczonego, który żyje pod urokiem osoby Jezusa, a równocześnie zdaje sobie sprawę z tego, że bez świadectwa wiary uprawianie teologii byłoby bezsensowne, byłoby jedynie wulgarnym religioznawstwem.

„Im bardziej nauka sięga w głąb — mówił Profesor przy innej okazji — tym konstatuje coraz więcej tajemnic. Najwięksi uczeni współczesności żyli w jakimś zafascynowaniu tajemnicą otaczającą człowieka ze wszystkich stron. Ci, którzy najbardziej wniknęli w świat, powiadają, że dalej jest już tylko misterium”. Po takim wstępie Profesor przywoływał przed nasze oczy osobę Alberta Einsteina. Ściszał głos i aktorskim szeptem kończył problem tajemnicy pytaniami, które stawiał sobie wielki fizyk: „Jak to jest? Jak to może być”? I dodawał jedyną możliwą konstatację,

że „na początku świata była MYŚL, INTELIGENCJA, ROZUM. Można to nawet udowodnić przy pomocy matematycznego wzoru i geometrycznego modelu”.

„Jeśli człowiek uświadomi sobie jak wielkim jest dziełem Bożym, a jednocześnie w swoim postępowaniu jak małym i niedoskonałym, to jedyną drogą może być tylko kierunek ku pełni, ku światłu... za Jezusem”.

„Rozwój jest możliwy tylko wtedy, gdy wybieramy doskonałość” — przytaczamy tych kilka myśli Profesora ze swoich notatek.

PRZYJACIEL DOMU

Czas na refleksje bardziej osobiste. Zaczniemy je od wspomnienia momentu najbardziej radosnego, dnia naszego ślubu. Profesor uczynił nam wówczas najmiłą niespodziankę: uczestniczył osobiście w tym bądź co bądź przełomowym momencie naszego życia. Nie byliśmy do końca pewni jego obecności, po prostu, Profesor unikał takich imprez. Później znowu obawialiśmy się o jego samopoczucie. Ślub odbywał się na wsi, towarzyszyło mu typowe wiejskie weselisko. Niestety, nie mogliśmy zmienić w tym rytuale niczego, żeby nie urazić naszych rodziców. I tu Profesor zaskoczył nas zupełnie. Najpierw na Mszy św., w homilii, ujął wszystkich zebranych niezwykle pięknymi słowami o miłości małżeńskiej i życiu rodzinnym, a później, kiedy został na przyjęciu, cieszył się z nami, przeżywał naszą radość jak własną. Długi czas po naszym ślubie, wioskowi znajomi (a kościół był nomen omen nabity ludźmi, w większości ciekawymi takich uroczystości) wspominali ze wzruszeniem homilię „tego siwego księdza o bardzo szlachetnej twarzy”, i kiedy odpowiadaliśmy, że to był nasz Profesor z KUL-u, kiwali głowami ze zrozumieniem i podziwem. A Profesor mówił bardzo prosto o ludzkiej miłości, o tym jak ona uobecnia się w małżeństwie, rodzinie, w ludzkiej wspólnotce. Powiedział m.in.: „Jeśli nie umiesz zrozumieć i przebaczyć współmałżonkowi, to zdradzasz miłość, ponieważ ona jest przebaczeniem, wyrozumieniem. Jeśli omijasz miłość na co dzień, w najdrobniejszych sprawach, które nie wydają się ważne, to również ją zdradzasz, bo ona rośnie w najmniejszym, bogaci się przez drobiazgi, dopełnia kropla po kropli. Jeśli nie stać cię na radość, ciepło, szczerłość, życzliwość... to kłamiesz, że kochasz, bo miłość wyraża się poprzez radość, ciepło, życzliwość...”

Najprzyjemniejsze chwile spędzamy z Profesorem na wędrownych w górach. Wyprawy z Nim to co roku nasze najważniejsze plany i najmiłsze wspomnienia. Bodaj na kilka dni pragniemy wpaść do Zakopanego, by wybrać się z Profesorem na szlak. Nie obywa się bez trudniejszych wspi-

naczek — o ile te kilkadziesiąt łańcuchów na tatrzańskich podejściach dają smak taternickiej przygody.

Profesor jest równie wspaniałym rozmówcą, jak i niestrudzonym wędrowcem. Jak na swój wiek — przepraszamy Go za to przypomnienie lat — jest wręcz znakomitością. Ileż trudnych wypraw, zważywszy nasze nizinne przyzwyczajenia, podjęliśmy? Były i Zawraty, Świnice, Kozie Wierchy, Granaty... Jeszcze w ubiegłym roku zrobiliśmy szlak, który będziemy długo wspominać: Z Morskiego Oka przez Szpiglasową Przełęcz, Dolinę Pięciu Stawów, Opalone i do Morskiego Oka. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie rześisty deszcz, który na krok nie zelżał od Szpiglasowej. Nie było na nas suchej nitki. Przemarznięci, mokrzy, pełni obaw o zdrowie Profesora dotarliśmy do domu. Na drugi dzień my kichaliśmy, a Profesor czuł się wyśmienicie. Okazał zresztą swoiście góralską przezorność poprzedniego dnia, ponieważ ukrył przed deszczem sweter, który jako jedyną suchą odzież wciągnął na siebie w schronisku w Dolinie Pięciu Stawów. Ileż razy podziwialiśmy jego kondycję i zdrowie.

Było to wędrowanie wypełnione rozmowami i podziwem dla piękna przyrody. Często schylał się, przywoływał nas i pokazywał to kwiat, to jakiś kamień z odcisniętym śladem życia. W górach roztrząsaliśmy wiele spraw osobistych, a także mówiliśmy o problemach zagrożenia gór już to przez zatrucie środowiska spalinami, już to przez cywilizowanie gór np. przez budowę wyciągów, kolejek, organizowanie zbiorowych wycieczek itp. Co do wyciągów, Profesor ujmował się za ludźmi o różnych niedyspozycjach fizycznych, pragnących zobaczyć góry. Nie myślał więc tylko o swojej pozycji uprzywilejowanego, ale o tych, którzy chcieliby także smakować widoki z góry, a nie tylko widok gór.

W czasie jednej z wakacyjnych wędrowek zaczął mówić o planach w perspektywie zbliżającej się emerytury. Zaskoczył nas zupełnie. Uczony, który mógłby tyle jeszcze zrobić w nauce, wydać kilka książek, na których dokończenie stale brakuje czasu, snuł plany duszpasterskie, ba, wcale nie proboszczowskie. Marzył o katechizacji dzieci. Zastanawialiśmy się później, czym wytłumaczyć takie plany? Odpowiedź może być tylko jedna: chciał nam dać do zrozumienia, że tylko systematyczne wychowanie religijne, od dzieci poczynając, może przynieść owoce ewangelizacyjne. Często zresztą rozmawialiśmy na tematy stanu duszpasterstwa u nas. Nie były to wesołe refleksje. Dominują wszędzie różnego rodzaju dorywcze akcje, brak natomiast systematycznej i całościowej pracy z rodziną.

Wędrując, dzieliliśmy się z Profesorem naszymi sprawami osobistymi, wszelkiego rodzaju rozterkami czy wątpliwościami. Razu jednego temat dotyczył spowiedzi. Obrosło się tyłoma teoriami i poglądami, że kwestia spowiedzi zeszła na odległy plan w życiu. Liczy się tylko Eucharystia. Profesor nie bardzo podzielał nasze przekonanie. Zaczął więc od historii

spowiedzi, oczywiście, wpytując nas przy okazji jak na egzaminie o daty soborów czy o szczegóły dogmatyczne. Ukazał przed naszymi oczyma potrzebę sakramentalnego oczyszczenia się jako spotkania z przebaczącym Bogiem w Chrystusie. Właśnie moment spotkania żałującego za swoje winy człowieka z pełnym miłosierdzia Bogiem uznał za istotny element naszego duchowego wzrostu. A na koniec tej rozmowy dodał: „Chrystus przychodzi do tych, którzy potrzebują lekarza, a więc nie przyjmujemy Jego dlatego, że czujemy się Go godni, ale dlatego, ponieważ to On daje się nam jako Dar”.

Do dziś jest dla nas zagadką, jak Profesor to robi, że nasze dzieci „są mu posłuszne”, tzn. nie nudzą się w jego obecności, siadają bez pardonu na kolanach i wpytują o różne sprawy. Czasem nie było nas w pokoju, a oni sobie rozmawiali i rozmawiali. Trochę to nietypowe dla naszych maluchów, którzy nie są przyzwyczajeni do szeptania i długiego słuchania. Podobnie też w kieleckim mieszkaniu Profesora nasi chłopcy czują się jak u siebie. Podlewają kwiaty, przeglądają książki, buszują między różnymi drobiazgami na biurku. I o dziwo. Nie pozostawiają za sobą bałaganu, tylko pilnie wypatrują wzroku Profesora i wszystko odkładają dokładnie jak było.

Ileż razy urzekła nas jego prostota i skromność, umiejętność panowania nad sobą. Świadczy o tym chociażby tylko to, że nie skarżył się nigdy i nikomu na jakieś niedomagania, na brak czasu. Nie istnieją dla Niego własne sprawy, troski, choroby. Człowiek o wielkim i hojnym sercu, pełen gestów miłosierdzia — o czym nieraz przekonaliśmy się, będąc w pilnej potrzebie.

*

Gdy myślimy o naszych spotkaniach z Profesorem, dawniej i dziś, niepokoi i trochę boli świadomość, że nie podołaliśmy we wszystkim jego wymagającej przyjaźni, wiele z wątków naszych rozmów, zachęt i inspiracji pozostało nie zrealizowanych. Między innymi serdeczne namowy, abyśmy zajęli się nauką, w praktyce nie wychodzą. Z troską też myślimy o naszym Kościele domowym, czy wizje Profesora, te najbardziej autentyczne przeżycia ze spotkań i rozmów z Nim, potrafimy należycie realizować we wspólnocie własnej rodziny.

Elżbieta Ryszka
Czesław Ryszka